



W dniach 10—12 czerwca br. gościmy w Lublinie Czesława Miłosza z okazji nadania mu tytułu doktora honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Repr. Waldemar Stępień

O skutkach nauk przyrodniczych

Czesław Miłosz

NIE MA nic takiego jak „ja i Natura”. Strój, jaki noszę, udogodnienia techniczne, jakimi się posługuję, sprawdzone i niesprawdzone hipotezy naukowe, jakich mnie nauczono, nie są moje, ale mojego stulecia i najwyżej wkrada się indywidualny odcień w takie czy inne ułożenie danych, gotowych elementów. Chciałbym zawierzyć pięciu zmysłom, spotkać się nago z nagością, ale pomiędzy mną i tym, co widzę, czego dotykam, wznosi się szyba: moja myśl o Naturze narzuca mi przez tzw. stan wiedzy i lekcje biologii.

Wszecmoc i majestat Boga rozpoznawalne w kielkowaniu, kwitnieniu, owocowaniu, w cudownym wyposażeniu ziemi, gdzie rośliny i zwierzęta dane są na użytek człowieka; później: niezglębiony rozum Wielkiego Zegarmistrza, zdolny przewidzieć, jak będzie funkcjonować każda z biliona bilionów śrubek wielkiego mechanizmu; później: skłaniająca się do trwoźnego szacunku wieczna przemyślność i wynalazczość Matki Natury — znam te etapy postępującej sekularyzacji, wysiłki, żeby przyczyny najpierw rezydujące w „nad” przenieść „w”, przez co, niestety, *mysterium* nie stało się nie a nic mniej *tremendum*. Ale to nie mój temat i nie mój ton — każde „dzisiaj” ludzkiej myśli ma swoją tonację, gdyby było inaczej, nie byłibyśmy w niewoli stylów, wpadalibyśmy na pomysły genialnie proste, zamiast wikłać się w języku naszych nauk i sztuk, w przez nas samych hodowanej dzungli. A nadaje teraz ton, przesądza o stylu, co innego niż medytacja nad Najwyższą Inteligencją: jest to obraz samoczynnego, ustawicznego Ruchu.

Jeżeli nie wzniesiono świątyni na cześć teorii ewolucji, to zapewne z tego samego powodu, dla którego w średniowieczu nie wznoszono świątyni na cześć nieśmiertelności duszy: nie wielbi się prawd oczywistych, jak dwa razy dwa cztery, a kościoły, podobnie jak później laboratoria, oznaczały tylko logiczne następstwo pierwszej, przyjętej przez wszystkich, przesłanki. Niech kto spróbuje teraz obalić w sobie autorytet nauki i powiedzieć: „nieprawdą jest, że życie powstało w morzu i że jednokomórkowe organizmy są pra-przodkami ryb, płazów, ptaków, ssaków, że odbywał się jakikolwiek rozwój od form mniej złożonych do bardziej złożonych, jakkolwiek przemiana i stopniowe powstawanie gatunków; ichtiozaury i pterodaktyle nigdy nie istniały, natomiast skamieliny kości zaginionych zwierząt, służące do rekonstrukcji ich wyglądu, zostały tu i ówdzie rozsiane jako figiel Boga, żeby wprowadzić nas w błąd i dalej karać za zerwanie jabłka z Drzewa Wiadomości; nigdy też nie istniał antropoid, przyczyniający tylu kłopotów teologom, skoro nie pozwala ustalić, gdzie kończy się zwierzę i gdzie zaczyna się człowiek; ziemia została stworzona od razu z jej zabytkami i ruinami, niby ów park arystokraty osiemnastego wieku z ułankiem rzekomo greckiej kolumny na zakręcie alei”.

Ruch: galaktyk, atomów, części atomu, wybuchy, przemieszczenia, przemiany. Odruch gniewu, urażonej godności, kiedy dowiedziano się, że człowiek też należy do łańcucha powszechnych przemian, czyli „od małego po-

Dokończenie na str. 7

NIGDY OD CIEBIE, MIASTO

Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać.
Długo była miła, ale cofało mnie jak figurę w szachach.
Uciekałem po ziemi obracającej się coraz prędej
A zawsze byłem tam: z książkami w płóciennym torbie.
Gapiący się na brązowe pagórki za wieżami Świętego

Jakuba,

Gdzie rusza się drobny koń i drobny człowiek za plugiem.
Najoczywiej od dawna nieżywi.
Tak, to prawda, nikt nie pojął społeczeństwa ni miasta
Kin Lux i Helios, sztydów Halperna i Segala.
Deptaku na Świętojerskiej nazwanej Mickiewicza.
Nie, nikt nie pojął. Nikomu się nie udało.
Ale kiedy życie się strawi na jednej nadziei:
Ze w jakiś dzień już tylko ostrość i przezroczystość.
To, bardzo często, żal.

RZEKI MALEJĄ

Rzeki maleją. Maleją miasta. Sliczne ogrody
Pokazują czego nie widzieliśmy dawniej, kalekie liście
i kurz.
Kiedy pierwszy raz przepląnąłem jezioro, wydawało mi się
ogromne.
Gdybym tam stanął dzisiaj, byłoby miską do golenia
Między łodowcowymi głazami i jałowcem.
Las koło wioski Halina był dla mnie pierwotny,
Z zapachem zabitego nie tak dawno ostatniego
niedźwiedzia,

Choć między sosnami przeświecało pole.
Co było indywidualne staje się odmianą ogólnego wzoru.
Świadomość nawet we śnie przemienia barwy pierwsze.
Rysy twarzy topnieją jak na woskowej kukle zanurzonej
w ogniu.
A kto zgodzi się mieć w lustrze tylko twarz człowieka?

Z CHŁOPA KRÓL

Nie umiem jeść widelcem. Gniecie mnie korona.
Po diabła mnie ubrali w te ich aksamity.
Kobieta w długiej sukni to jest moja żona,
Jakbym nie dość miał dziwek z mojej dworskiej świty.
Szepty wokoło mnie. Płasy i parle franse.
Co trzeba mówić prosto, wykręcając zawile,
Grzeczności sobie wzajem prawią oszukańcze
I trzepią się parszywcy, mdlejąc jak motyle.

Patrze na nich udając, że spuszcza powieki
W tłustej drzemce. I co dzień tak strugam wariata.
Taki już im zostaną w pamięci na wieki.
Innego, wiem to, nigdy nie zobaczę świata.

A mnie co? Mam nienawiść, ta we mnie się jarzy,
Lampa mnie radująca, pochodnia weselna.
Co myślę nikt nie zgadnie z glupkowatej twarzy.
I tak o nie inaczej życie mi się spełnia,
Tylko przez nich, co skaczą, mizdrzą się i chwają,
Czuje, że jestem: ogniem, krzemieniem i stalą.

POWINIEN, NIE POWINIEN

Człowiek nie powinien kochać księżycy.
Siekiera w jego ręku tracić nie ma ciężaru.
Sady jego powinny pachnieć gnijącymi jabłkami
I porostać pokrywami w miarę.
Człowiek mówiąc nie powinien używać słów
dla niego drogich,

Ani rozlupywać ziarna, żeby zobaczyć, co jest w środku.
Nie powinien rzucać kruszyny chleba ani pluć w ogień
(Tak przynajmniej uczono mnie na Litwie).
Jeżeli wstępuje na marmurowe schody,
Cham, niech stara się wyślubić butem szczerbę
Na przypomnienie, że schody trwać nie będą

USTAWIĄ TAM EKRANY

Ustawią tam ekrany i nasze życie
Bedzie się ukazywać od początku do końca
Ze wszystkim, co zdolaliśmy zapomnieć, jak się zdawało,
na zawsze,

I strojami epoki, które byłyby tylko śmieszne i żalodne,
Gdybyśmy nie my je nosili, nie znając innych.
Armageddon mężczyzn i kobiet. Na próżno krzyżeć: ja
ich kochałem,
Kaźde wydawało mi się dzieckiem łakomym i spragnionym
pieszczol.

Lubiłem plaże, pływalnie i kliniki,
Bo tam oni kość mojej kości, mięso mego mięsa.
Litowałem się nad nimi i sobą, ale to nie obroni.
Skończone jest słowo i myśl, przesunięcie szklanki,
Odwroćcie głowę, palce rozpinające suknie, błażeństwo.
Oszukańczy gest, kontemplacja obłoków.
Zabójstwo dla wygody: tylko to.
I cóż z tego, że odchodzą dzwoniąc dzwoneczkami
U kostek, że wkraczają tak powoli w ogień,
Który zabrał ich i mnie? Gryz, jeżeli masz, palce
I znów oglądaj, co było, od początku do końca.

O skutkach nauk przyrodniczych

Dokończenie ze str. 1

chodzi". Odruch usprawiedliwiony, bo to było dotkliwie. Dotąd wyniesiony nad rzeczy, człowiek musiał zacząć patrzeć na siebie jako na rzecz, jego włączenie do rzędu ssaków zaczynało brać górę na jego autonomię z boskiego nadania, a moralność i prawo okazały się wytworem jego jako *genus* — podobnie jak buraki produkują cukier, mówiono.

Zastanawiające, że kiedy człowiek był tak naturalizowany, wykazywał coraz większą skłonność do ucłowieczania Natury. Zwierzęta w średnio-wiecznych *fabliaux* przemawiają i zachowują się jak ludzie, ale dlatego, że są ludźmi w przebraniu zwierząt. Jest to odwrotne do zwierząt w przebraniu ludzi, tej głównej obsesji pisarzy nowoczesnych. Przejęty litością nad zwierzęciem w sobie, nad jego bólem, strachem i zależnością od fizjologicznych potrzeb, człowiek, poniżony, nabywał współczucia dla wszystkiego, co żyje i cierpi, nazywając istnienie obozem koncentracyjnym i znajdując w nim argument przeciwko Bogu.

Oczywiście zmaganie się ze Złem we wszechświecie jest stare i już manichejczy nie chcieli uwierzyć, że- by tak nędzny świat mógł wyjść z rąk dobrego Boga, ponieważ Boga należało oczyścić, uznali świat za dzieło złośliwego demiurga. A później mnożono teodyceę, czyli zręczne systemy, których celem było dowodzić, że Bóg, pomimo wszystko, za Zło nie ponosi odpowiedzialności. Nigdy jednak pozycja obrońców ukrytej harmonii nie była trudniejsza, nigdy manichejska zajadłość nie była tak agresywna, jak od chwili kiedy spostrzeżono, że ból materii żywej jest dźwignią jej Ruchu i że poszczególne istoty jest poświę-

cana w imię wspaniałej, olbrzymiej transformacji obywatelkiej się bez celów. Kiedy nasi potomni będą szukać określenia dla naszych czasów, prawdopodobnie posłużą się słowem „neo-manicheizm”, ze względu na charakterystyczny uraz do złej materii, której rozpaczliwie jest przeciwstawiana wartość, choć już nie pochodząca z boskiego źródła, wyłącznie ludzka, Barona Munchhausena zdolnego wyciągnąć siebie za włosy z bagna. Wtedy też wszelkie pochwały ciała, swoboda w obyczajach, ukażą się jako pozory, maski: gdyż strach przed ogniem piekielnym nie zniknął, jedynie Piekło, jak dla tych dawnych uczniów Manesa, zagnieździło się w samym naszym poddaństwie, w bezbronności wobec rezydujących w nas naturalnych sił, dziś domeny biologa, lekarza i psychiatry.

Nie są to dla mnie rozważania teoretyczne. Wobec Natury nie jestem „ja”, noszę piętno mojej cywilizacji i jak ona mam poczucie zagrożenia, odrzy do nieosobowego, wpisanego w strukturę kosmosu okrucieństwa. Podejrzewam co prawda, że ucłowieczając ból, tzn. rozciągając ból, taki jakiego doznaje człowiek, na wszystko co żyje, popełnia się błąd, inny niż wtedy, kiedy zwierzęta uważano za żywe maszyny, ale przez to niewiele lepszy. Być może tam, gdzie nie wkracza świadomość, nie ma cierpienia w naszym sensie, a poza tym nigdy chyba nie potrafimy odtworzyć doznań istot o mniej rozwiniętym systemie nerwowym: przecięta nożem osa, czy raczej jej część oddzielona od tułowia, dalej pije miód, żuk, który stracił właśnie nogę, równie energicznie jak przedtem biegnie ścieżką. Dlaczego więc mam występować jako oskarżyciel projekcji moich doznań na to, co jest Inne, a za moim rzekomym współczuciem kryje się lęk o sie-

bie: bo wiem, że w każdej chwili mogę być wystawiony na taką próbę jak paląca się w płomieniu świecy ćma, nie tylko, wiem nawet, że na pewno czeka mnie mniej czy bardziej uciążliwa śmiertelna agonia.

Tak czy owak, piętno noszę i jeżeli bronię się przeciwko stosowaniu miar zbyt ludzkich, tym bardziej Inne osacza mnie swoją obojętnością, z jego praw nie mogę wyprowadzić żadnego prawa dla siebie. Gdyż moi współcześni, silnie tknięci manicheizmem, a chcąc czy nie chcąc jestem jednym z nich, bardzo oddalili się od nauk o zgodności z Naturą jako wskazówce zachowania się, o mądrym przyjęciu jej rytmu. Porażeni zwierzęciem w sobie (które niegdyś było trzymane w potrzasku przez Duszę, Rozum), namiętnie szukali Ducha, ale ponieważ Bóg wycofywał się, tracąc swoje atrybuty, Duch mógł być tylko ludzki, jedyny twórca rozróżnień pomiędzy dobrem i złem, przeciwstawiony wszechświatowi nie znającemu dobra ani zła. Choć odnośnie się podejrzliwie do tego, co otrzymałem od innych, mieszkając wśród nich, słuchając ich lekcji, poddając się ich wpływowi, odnajduję w sobie mocno już zakorzenione przekonanie o samotności, mojej, człowieka, wobec nieogarnionej przestrzeni, ruchomej a przecie pustej, bo nie dochodzi z niej żaden głos w mojej, mnie bliskiej i dostępnej mowie.

Czesław Miłosz

Publikowany esej pochodzi z książki „Widzenia nad Zatoką San Francisco” (Paryż 1980), której I wydanie ukazało się w 1969 r.

(Red.)